

Krew Łukiszek

Cela więzienna na Łukiszkach w Wilnie była wcieleniem zimna i wilgoci, przenikającym do szpiku kości. Powietrze, którym oddychał ksiądz Romuald Świrkowski, było ciężkie, duszne, przesiąknięte smrodem stęchlizny, potu, odchodów i świeżej krwi. Czuł ją w nozdrzach, smakował gorycz. Każdy oddech był aktem oporu. Romuald leżał na pryczy, wyczerpany, ale z umysłem niczym płonąca świeca. W dłoniach, które ledwie miał siłę ścisnąć, trzymał różaniec ulepiony z chleba i nitek z podartej sutanny. Każde ziarenko przypominało mu o wspólnej modlitwie. Teraz modlitwa była cicha, szeptana w mroku, ale jej moc zdawała się potęgować w tej samotności.

Na sąsiedniej pryczy, leżał ojciec Władysław Całka. Jego twarz była blada, naznaczona zmęczeniem i świeżymi sińcami, ale z oczu bił wewnętrzny blask. Władysław, pomimo wycieńczenia, obsesyjnie pielęgnował swoją tajną księgę. Codziennie, przy najmniejszym przeblasku światła, z trudem, ale z uporem, zapisywał w niej imiona zamordowanych, opisy tortur i świadectwa niezłomności. Ten brudny zeszyt, ukryty w zagłębieniu celi, był jego aktem buntu, ich dziedzictwem przeciwko zapomnieniu.

Naprzeciwko nich siedział młody ksiądz diakon Augustyn Piórko. Jego dłonie, spuchnięte i poranione, z pietyzmem gładziły podarte Pismo Święte. Augustyn traktował to piekło jako „rekolacje zamknięte z woli Bożej”, czerpiąc siłę z każdej litery Słowa Bożego. Jego niezłomna wiara była jak tarcza, odbijająca uderzenia oprawców. Doniesienia o działalności Augustyna, o jego słowach nadziei ożywiających serca wiernych, musiały wzbudzić w oprawcach dziką nienawiść. 3 marca 1942 roku wileńskie seminarium zostało otoczone przez litewską Saugumą i hitlerowskie Gestapo. Augustyn został aresztowany i osadzony w więzieniu na Łukiszkach. Od momentu aresztowania, z niezwykłą odwagą, przemyślał listy do matki i siostr, ryzykując życie. Te skrawki papieru stały się świadectwem jego miłości i niezłomności. Byli tu razem: trzech kapłani, trzech bracia w cierpieniu, nierozłączni w tym koszmarze.

Z korytarza dobiegły ciężkie, rytmiczne kroki. Wiedzieli już, co ich czeka. Oddech więźniów stał się cięższy, a w oczach pojawił się cień smutku. Drzwi otworzyły się z hukiem. Dwóch niemieckich strażników, o twarzach pozbawionych ludzkiego wyrazu, wkroczyło do środka. Bez słowa chwycili Romualda za ramiona, szarpiąc go z pryczy.

„Wstawaj, księżulku. Czas się spowiadać!” – warknął jeden z nich. „Czy Bóg ci pomoże tym razem, co? Może ześle anioły z nieba?”

Romuald nie odpowiedział. Głowa uniesiona wysoko, wzrok pełen spokoju i niewypowiedzianego smutku. Władysław i Augustyn wymienili ciche, ale mocne spojrzenie. „Trzymaj się, bracie” – szepnął Władysław. Augustyn tylko skinął głową, a w jego spojrzeniu Romuald wyczytał: „Nie bój się, bracie. Bóg z tobą.” Zaprowadzono go do sali przesłuchań. W centrum stało metalowe krzesło, lśniąco pod ostrym światłem lampy. Na podłodze widoczne były zaschnięte plamy krwi.

Kiedy strażnicy, po godzinach piekła, wrzucili Romualda z powrotem do celi, Augustyn i Władysław natychmiast rzucili się, by mu pomóc. Romuald ledwie trzymał się na nogach, jego twarz była pobita do niepoznania. Krew sączyła się z ran, plamiąc sutannę. „Nic. Absolutnie nic” – odpowiedział Romuald słabym, ale pewnym głosem. „Bili mnie, przypalali... grozili rodzinie... Ale nic. Ani jednego nazwiska, ani jednego miejsca. Tylko prawda. Moja prawda. Nie wyparłem się.” Augustyn ujął dłoń Romualda. „Wytrwamy. Bóg z nami.”

Następnego dnia, równie brutalnie, zabrano Augustyna. Władysław i Romuald siedzieli w celi w napięciu, wsłuchując się w stłumione echo krzyków. Nieobecność Augustyna ciągnęła się w nieskończoność. Kiedy w końcu wrócił, był w jeszcze gorszym stanie. Jego ciało było wiotkie, a twarz sina od sińców i opuchlizny. Z boku sączyła się krew, a ręce miał zmasakrowane.

Oficer Gestapo często odwiedzał ich celę, patrząc na nich z pogardą. „Tacy młodzi. Tacy... naiwni!” – rzekł, a jego uśmiech był gorzki. „Myślicie, że Bóg was uratuje? Tu, w Łukiszkach, Bóg nie przychodzi. Tu jest tylko... prawda. Nasza prawda. Prawda Rzeszy, która zniszczy wasze zabobony, wasze ciemnogrodzkie wierzenia.”

„Właśnie tu jest najbliżej Nieba” – odpowiedział Augustyn, jego głos był słaby, ale w jego oczach płonął ogień wiary. „Tu, gdzie cierpienia największe, tam Bóg najbliżej. Jesteśmy gotowi na każde cierpienie.”

Oficer, zaskoczony, wpadł w furję i uderzył Augustyna w twarz. Młody kapłan padł na ziemię, ale jego oczy, choć pełne łez, wciąż patrzyły prosto w oczy oprawcy, pełne smutku i współczucia.

„Pamiętajcie, że mogę was zabić, księża. Jednym ruchem!” – groził oficer. „Nikt nawet nie zapłacze! Znikniecie jak cień. Wasze nazwiska zostaną wymazane z historii.”

„Pomyliłeś się” – odpowiedział Romuald. „Pamięć będzie! Ktoś zapłacze. Ktoś będzie pamiętał. Kiedyś świat się dowie, co tu robicie. A wtedy wasze cienie... staną się waszą hańbą. A my będziemy światłem. Bo prawda zawsze wychodzi na jaw. I nikt jej nie powstrzyma.”

Przesłuchania trwały, godziny zlewały się w bolesną, niekończącą się mękę. Bito ich, zmuszano do nieludzkich pozycji, dławiono, przypalano. Głód i pragnienie były ich nieodłącznymi towarzyszami. Zmuszano ich do podpisywania fałszywych zeznań. „Wystarczy jeden podpis, księża! Wasze rodziny będą bezpieczne!” – syczał oficer. Romuald widział swoją matkę, Władysław – chorą siostrę, Augustyn – swoją parafię. Te obrazy były torturą gorszą niż fizyczny ból. Zaciskali zęby, walcząc z pokusą. Ich milczenie było głośniejsze niż wszelkie krzyki.

Pewnej nocy Romuald został brutalnie oddzielony od reszty i wrzucony do pojedynczej celi – bez okien, w absolutną samotność. Panowała tam zimna, lepka cisza. Przez trzy dni nie dostał ani kropli wody, ani okruszyny chleba. Ale gorsze od fizycznego cierpienia były dźwięki. Krzyki. Rozdzierające, rozpaczliwe krzyki Władysława i Augustyna, dochodzące z oddali. Czasem krzyki milkły na dłużej, a wtedy Romualda ogarniała rozpacz. Modlił się, by Bóg dał im siłę.

Cela więzienia na Łukiszkach tonęła w ciemności. Przez zakratowane okno wpadało słabe światło księżyca, ledwie rozjaśniając brudną podłogę, na której leżał Augustyn. Młody diakon, który jeszcze rok temu marzył o tym, by stanąć przy ołtarzu, teraz konał na zimnym betonie.

Romuald klęczał przy nim, z trudem trzymając go za dłoń. Skóra Augustyna była zimna, sina. Oczy – przymknięte, jakby już spoglądały na inny świat.

„Augustynie... bracie...” – szepnął ks. Romuald, pochylając się niżej. „Nie odchodź. Jeszcze nie teraz.”

Młody męczennik otworzył powieki. Jego spojrzenie było mgliste, ale rozpoznające. Na moment uśmiechnął się lekko, krwawymi ustami.

„Romualdzie... ojcie Władysławie... Ja... idę do Niego. Bóg jest. Ja wierzę. Będę na was czekał... tam. W Niebie. Żegnajcie...”

I zapadła cisza. Taka, której nie potrafi przerwać żaden dźwięk. Augustyn Piórko odszedł.

Władysław objął Romualda, który zacisnął pięści i przyłożył czoło do prawie martwego ciała.

„On nie zdążył nawet odprawić pierwszej mszy” – wyszeptał. „Ale dał największe świadectwo.”

Kilka dni później Augustyna przewieziono do więziennego szpitala na Zwierzyńcu. Nie odzyskał już przytomności. Matki i siostr nie wpuszczono. Umarł 13 kwietnia 1942 roku w samotności. Ciało oddano rodzinie dopiero po długich błaganiach.

Pogrzeb 14 i 15 kwietnia stał się cichym protestem – Wilno przyszło tłumnie, w milczeniu. Czapki zdjęte, głowy pochylone. Tak żegna się świętych.

Romuald i Władysław wiedzieli, że ich czas się kończy. Nie mówili już wiele. Modlili się, trzymali się za ręce, wspominali kazania, dzieci chrzczone w ukryciu, ostatnie rozmowy z parafianami.

I nadszedł najgorszy dzień.

Wywleczono ich brutalnie z celi.

Oficer SS spojrzał na nich z pogardą.

„Jeszcze raz: podpisujecie i żyjecie.”

Romuald nie czekał nawet na tłumaczenie.

„Nie zdradzamy Boga. Nie zdradzamy Polski. Nie zdradzamy prawdy.”

„Nasze życie nie należy do was” – dodał Władysław cicho, lecz stanowczo. „Jest w rękach Boga.”

Oficer uderzył pięścią w stół. „Więc idźcie do swojego Boga!”

Zostali rozdzieleni.

Romuald, ze stulą ukrytą pod pazuchą, dołączony do grupy młodych skazańców. Ciasna, duszna ciężarówka wypełniona modlitwami, stłumionym płaczem i zapachem strachu.

Władysław został w celi. To miała być ostatnia różnica – życie i śmierć.

Ciężarówka dojechała do Lasu Ponarskiego. Kiedy zeskakiwał z niej Romuald, przez ułamek sekundy poczuł zapach sosnowej żywicy i ciepłej ziemi. Jakby wracał do dzieciństwa.

Kazano im klęknąć przy skraju wielkiego dołu.

Romuald wyjął stulę. Spowiadał kolejnych ludzi, po cichu. Błogosławił. A gdy przyszła jego kolej, uśmiechnął się.

„Panie... oto jestem.” Strzał. Upadł z innymi.

Tymczasem w Łukiszkach...

Władysław, skulony w kącie celi, szeptał różaniec. Drzwi otworzyły się nagle. Myślał, że to koniec. Ale to nie był strażnik z batem.

To był Jan – jeden z nowych wartowników, dawny ministrant z parafii Władysława.

„Ojcie... Bóg mnie tu przysłał. Szybko. Wyjdź tylnym korytarzem. Mówią, że mają cię zabrać jutro.”

Władysław patrzył na niego w milczeniu, potem tylko uściśnął dłoń.

Z pomocą innych więźniów, okryty łachmanami, wymknął się z piekła.

Przeżył. Nie po to, by zapomnieć, ale po to, by pamiętać.

Po wojnie ojciec Władysław nie powrócił już do Wilna. Był zbyt poszarpany wewnętrznie, by patrzeć w oczy tamtym ulicom. Pracował cicho, z oddaniem. W Paczkowie, Zamościu, Warszawie. Zmarł w Bardzie Śląskim w 1969 roku.

Ale zostawił coś, co przetrwało – dziennik. Spisane na kartkach z marginesami, w więziennej ciemności. Imiona. Modlitwy.